

Antoni Patla

MOJE TURYSTYCZNE ŚCIEŻYNY I DROGI

Południowe okno mojej rodzinnej, podkrośnieńskiej chatki, wyczarowywało mi codziennie miniaturowy obraz gór dukielskich, z dominującą sylwetką Cergowej, sięgającej — według mojej dziecięcej wyobraźni — „aż do nieba”. Okno północne wносиło do mieszkania surrealistyczne kształty czarnorzeczek Prządek i fantastyczny obraz odrzykońskiego zamczyska. Okna wschodnie wycelowane były prosto na piękny masyw wzgórza, na którym rozsiadła się dostojnie i dumnie wieś Suchodół.

Te trzy obrazy były w mojej dziecięcej świadomości punktami niezmiernie odległymi i zamykającymi krąg świata, ale psychologicznie były ze mną zrośnięte w jedną całość: ja i świat.

Aż do roku 1903 panowała nade mną potężna bariera przestrzeni. Fizycznie nieosiągalna dał przytłaczała mnie swoją wielkością i swoimi zagadkami, ale jednocześnie przemożnie ku sobie porywała.

Pierwszy raz tę zakłęta barierę przestrzeni przemogłem dnia 9 IX 1903 r., gdy jako uczeń I klasy szkoły podstawowej udałem się pod opieką matki na stację kolejową Jedlicze, by wziąć udział w powitaniu Marii Konopnickiej. Kim była Konopnicka, wiedziałem już dobrze, gdyż na pamięć znałem kilka jej wierszy. W konkretnej sytuacji ważne było to, że krąg świata poszerzyłem poznawczo o parę długości i stwierdziłem, że poszerzać go można w nieskończoność. Bakcył turystyczny został połączony.

W trzy lata później, na rynku krośnieńskim, dokonał się drugi stopień wtajemniczenia w magię turystyki. W piękny poranek niedzielny dostrzegłem na rynku grupę ludzi wyraźnie nie-

tutejszych i jakoś dziwnie, nietypowo ubranych, bo... z plecakami. Grupie tej przewodził dość wysoki, o energicznych ruchach, młody mężczyzna z bródką, którego pozostali tytułowali „panem doktorem”, „kolegą doktorem” lub „panem Mieczysławem”.

Pan doktor barwnie i żywo opowiadał o dziejach Krosna, wskazując, dla ilustracji swoich wywodów, malownicze krośnieńskie podcienia, wójtowską kamienicę, resztki murów obronnych, wspaniałe kościoły.

Nie było już siły, która by mnie zdołała oderwać od tej grupy. Idąc za nimi, jak cień, starałem się nie unieść ani jednego słowa wymownego „pana doktora”. Czytelnik łatwo się domyśli, że owym panem doktorem był znakomity turysta nad turystami — Mieczysław Orłowicz.

Gdy wyszedłem, w ślad za wycieczką, z kościoła Kapucynów, pan doktor zaanonsował: „A teraz, moi państwo — kierunek Odrzykoń”.

Te krótkie i zwyczajne niby słowa niosły dla mnie cud: zobaczę z bliska zaczarowany świat Prządek i romantyczne ruiny zamczyska. Zobaczyłem w istocie o wiele więcej: najpierw miasteczko tkaczy — Korczyne, kopalnię ropy w Czarnorzeczkach, a nade wszystko cudowny krajobraz roztaczający się od strony zamku ku południowi. O wspaniałościach tego krajobrazu pisał już ongiś Seweryn Goszczyński w powieści *Król Zamczyska*.

Gdy samotnie wracałam do domu (bo grupa wycieczkowa ruszyła *via* Domaradz w stronę Dynowa, do Przemyśla), byłam już w mocy „demonia” turystyki. Do roku 1910 zwiedziłem

w samotnych wędrowkach Duklę, Żmigród, Osiek, Dębowiec, Kołaczyce, Brzozów, Sanok, Strzyżów, nie mówiąc o dziesiątkach wsi.

Rok 1911 stanowił dla moich planów wędrowniczych pewien przełom. Mimo chłopięcego wieku (14 lat), byłem życiowo zupełnie usamodzielniony. Zarabiałem na życie nie tylko własne, ale pomagałem również młodszemu rodzeństwu. Wiosną roku 1911 udało mi się zaangażować do pracy w grupie wędrownych cieśli, budujących domy we wsiach łemkowskich na rozległej przestrzeni kędyś od Wysowej na zachodzie do Łupków na wschodzie.

Oceniając rzecz ze stanowiska pasji turystycznych, ten mój „ciesielski staż” był losem wygranym na loterii. Wędrowki piesze (bo tylko takie wchodziły w rachubę) utrzymywały mnie w stałym „napięciu poznawczym”, a kontakty na co dzień z „egzotyką” łemkowską zaspokajały moje zaciekawienia etnograficzne. Trudy zaś wędrowek pieszych – po 50 km dziennie – dawały fizyczny hart i dobrą kondycję.

Do końca lipca roku 1914 zwędrowałem całą dzisiejszą południową Rzeszowszczyznę i coś ponadto. W lecie 1912 roku, gdy pracowałem w pogranicznej wsi Ciechanie, skusiło mnie, aby w najbliższą niedzielę przekroczyć granicę mojej „galicyjskiej ojczyzny” i chociaż niewielki fragment Węgier zobaczyć. Kusilo mnie zobaczenie małego, ale uroczego miasteczka słowackiego Zborów i znanego węgierskiego kąpieliska – Bardiowa.

Dobrze trafiłem, bo oto na rynku w Zborowie zobaczyłem rzecz niepowtarzalną: koncert orkiestry cygańskiej na harfach... Już sam widok czterech harf, a przy nich czarnych postaci Cyganów, tchnął egzotyką podwójną: czasu i przestrzeni. Elegancki Bardiów też wzbogacił moje słowacko-węgierskie wrażenia, ale dał i coś więcej. Niezlomne postanowienie kilkudniowej wycieczki pieszej południowymi stokami Karpat, właśnie od Zborowa aż do Trateny, skąd *via* Czarny Dunajec do Nowego Targu, a potem do domu – pociągiem.

Wędrowce dodawała uroku niezwykła gościnność słowackich gazdynek, które za nocleg czy jadło nie tylko nie żądały żadnego wynagrodzenia, ale jeszcze obdarowywały na drogę jadłem, ile tylko można było udźwignąć.

Wśród założeń poznawczych na pierwszy plan

wysunęło się pytanie: czy na polskim Spiszu zachowały się jeszcze ślady polskości z czasów, gdy ziemia ta stanowiła integralną część Rzeczypospolitej. Głównie chodziło mi o Starą Lubowlę. Powrotna droga pociągiem z Nowego Targu do Krosna też stanowiła pasmo niezatartych wrażeń.

Rok 1913 był dla mnie okresem podwójnie ważnym, gdyż w tym roku wstąpiłem równocześnie do dwóch organizacji: Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego i Związku Strzeleckiego.

Wybuch pierwszej wojny światowej nie stanowił dla mnie zawieszenia działań turystycznych, choć była to już „turystyka mimo woli”, turystyka jako „produkt uboczny”, choć nie mniej istotny. Przydział do II Brygady Legionów stworzył pasjonujące ciągi działań turystycznych, w których dane mi było poznać dobrze: Gorgany, Czarnohorę, Pokucie, Bukowinę, Besarabię, Wołyń, Polesie, Warszawę, Przemyśl, Węgry, Włochy, Jugosławię, Tyrol, Karyntię, Wiedeń, Czechosłowację, Siedmiogród, Banat.

Lata 1918–1920 również nie przyniosły zastój w „turystycznej działalności”, gdyż wszystkie kampanie tego okresu zawierały w sobie tak samo możliwości poznawania kraju i ludzi, mimo że to krajoznawstwo było działalnością nie zamierzoną i niejako marginalną.

Lata międzywojenne stały się dla mnie okresem turystyki b. intensywnej, do czego w niemalym stopniu przyczyniła się okoliczność, że jako kawaler orderu *Virtuti Militari* miałem prawo do 80% zniżki kolejowej, a od roku 1928 dysponowałem nawet bezpłatnym biletem I klasy bez żadnych ograniczeń „kilometrażowych”. Do tego ostatniego przywileju uprawniał mnie zawód dziennikarza oraz funkcja redaktora naczelnego „Kuriera Nadniemeńskiego” w Grodnie.

Uprawianie w takich warunkach turystyki nie przedstawiało żadnego problemu materialnego. Problemem był tylko czas... W grę bowiem mogły wchodzić jedynie niedziele i święta, tygodnie urlopowe i ewentualne wyjazdy służbowe w celach prasowych.

Turystykę „okresu grodzieńskiego” uprawiałem niejako na dwu planach: w ramach organizacyjnych Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego – na dystansach krótszych, oraz indywidualnie – na trasach dłuższych.

Na pierwszy ogień poszły tereny najbliższego sąsiedztwa, a więc — zakątki Grodzieńszczyzny, Białostocczyzny i Nowogródzczyzny, a następnie — Polesie, Wołyń, Podole, Pokucie. Nie sposób było nie odwiedzić „znajomych kątów” z okresu pierwszej wojny światowej — Gorganów, Czarnohory...

Podróże po ziemiach zachodnich miały inny nieco wymiar niż wschodnie. Budziły nie uczucie, lecz myśl i wolę.

Duszą i sercem turystyki w Grodnie był kol. prof. Jan Kochanowski, działacz niestrudzony, właściwy założyciel oddziału Towarzystwa w Grodnie i jego siła motoryczna. On też był założycielem ogrodu botanicznego i ogrodu zoologicznego w Grodnie. Każdą wycieczkę organizowaliśmy zawsze kolektywnie, zawsze według jakiegoś ideowego klucza: np. „Szlakiem Mickiewicza”, „Szlakiem Orzeszkowej”, Syrokomli, Czeczota, Narbutta itp.

W Grodnie wydawaliśmy periodyk krajoznawczy pod zmieniającym się tytułem i o różnej częstotliwości ukazywania się, zależnie od sytuacji finansowej oddziału. Pod auspicjami grodzieńskiego oddziału Towarzystwa pozostawał miesięcznik poświęcony uroczym Druskiennikom: „Ondyna Druskiennickich Źródeł”. W roku 1929 redakcję tego miesięcznika złożono w moje ręce.

Dużym powodzeniem cieszyły się wycieczki statkiem zarówno w górę Niemna, do Bohatyrowicz, gdzie rozgrywa się akcja najpiękniejszej powieści Orzeszkowej *Nad Niemnem*, jak też w dół Niemna, do Druskiennik.

Prof. Kochanowski, jako żarliwy przyrodnik, obwoził nas po najciekawszych zakątkach puszczańskich, jak wielka kolonia czarnych bociaków koło Berszt, fantastyczne meandry Niemna koło Szandubry, aleja wysokich drzew jałowcowych koło Mostów Fabrycznych — istny fenomen florystyczny na skalę europejską.

Każdą z tych wycieczek opisywałem obszernie na łamach niedzielnych dodatków literackich „Kuriera Nadniemeńskiego”.

Ponure lata okupacji pozornie nie sprzyjały uprawianiu turystyki, przynajmniej w jej wymiarach pokojowych. W istocie jednak były jej bardzo pomocne. Lato roku 1940 spędziłem w nieustannych wędrówkach po powiecie krośnieńskim, montując tu ogniwa konspiracji.

W roku 1942 wypadło mi poszerzyć krąg wędrówek o kilka powiatów podkarpackich, gdy powierzono mi zadania szefa prasy podziemnej na ten okręg. Uzbrojony w „certyfikat” urzędowy „zbieracza ziół” i nosząc jako maskotkę trochę suszonego zielska, wędrowałem teraz po rozległym obszarze całej południowej połaci dzisiejszego woj. rzeszowskiego. Na szczęście tereny te znane mi były jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej, toteż łatwo mi było poruszać się unikając „śpiącego licha”. W okresie, gdy znalazłem się w sytuacji „spalonego” i gorliwie byłem tropiony przez gestapo, terenem mojej działalności i kwaterunku stały się północne, wertepiaste tereny pow. sanockiego, których dotąd nie znałem.

Rok 1945 przyniósł mi dość zasadniczą zmianę: przekwaterowanie się na Ziemię Odzyskaną. Wybrałem teren nadmorski i pracę pedagogiczną. I znów okazja do wędrówek nadmorskich szlakiem: Ustka, Słupsk, Sławno, Darłowo, Jarosławiec, Kószalin, Kołobrzeg, Szczecin. Ileż to emocji dawało bezpośrednie poznanie prastarych naszych ziem nadmorskich, od Gdańska poczynawszy, ziemi marzonej przez Mieszka I, włączonej do Polski przez Bolesława Chrobrego, bronionej z męstwem przez Krzywoustego, zdobywanej ponownie przez Jagiellę, utrwalonej pod panowaniem polskim przez Jagiellończyka, Batorego i Władysława IV.

Mieszkając nad morzem robiłem codziennie piesze wycieczki plażą, aby z potężnym żywiołem morskim zawrzeć „magiczne śluby”. Najlepiej szło się na krótko przed świtem, kiedy morze skryte welonem mgieł porannych prowadziło cudowny rozhowor głosami tysięcy rozgadanych królestw ptasich, rytmicznym pluskiem fal czy szczebliwą kłótnią fok.

Wrażenie potęgowała myśl, że może tu stał kiedyś w zadumie Bolko Chrobry, lub nieustraszony Bolko Krzywousty...

Okres pobytu nad morzem minął jak piękny sen. Los mój miał mnie rzucić w nowe miejsce. Otrzymałem nominację nauczycielską do znanych mi jeszcze z lat pierwszej wojny światowej Suwałk.

Na szczęście odnalazłem tu związek Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, kierowany praktycznie przez dwóch starszków-sędziów i starszka-sekretarza sądu. Mimo bardzo serdecz-

nego stosunku do spraw turystyki dwaj starsi panowie niewiele mogli zwojować. Oddział liczył około 25 osób „płacących składki”, co nie jest równoznaczne z uprawianiem turystyki, a tym bardziej krajoznawstwa.

Z dawnej kadry turystycznej był jeszcze dr Witkowski, ale tak zapracowany, że o turystyce nie mógł nawet marzyć.

Włączam się od razu do akcji, w pełni świadomy, ile pracy stoi przed oddziałem Towarzystwa... Na horyzoncie suwalskim znalazł się, na szczęście, świeżo uwolniony z wojska mjr Kuchciński. We dwóch ustaliśmy najbliższe i najbardziej palące odcinki pracy: odremontować „sposobem gospodarczym” i „czynem społecznym” obydwa domy wycieczkowe nad Wigrami; rozbudować organizację, wzbogacić tabor wodny drogą remontu starych jednostek i kupna nowych; zorganizować kurs przewodników turystycznych; wyznakować szlaki turystyki pieszej; zorganizować kilka wycieczek szkoleniowych; opracować i wydać książkowy przewodnik po Suwalszczyźnie; przeprowadzić gruntowną penetrację turystyczną całej północnej Suwalszczyzny; przestudiować szczegółowo szlak wodny Wigry – Czarna Hańcza – Kanał Augustowski i wybrać miejsca na budowę przyszłych stanic wodnych, wreszcie – dążyć do tworzenia muzeum regionalnego.

W najbliższych latach przewędrowałem całą Suwalszczyznę, wszystkie jej zakamarki. Tropiłem układy moren czołowych wszystkich stadiów ostatniego zlodowacenia, odszukiwałem pomniki przyrody nieożywionej, w postaci wielkich głazów narzutowych, poznawałem stosunki ekologiczne licznych jezior, wychwytywałem kontury krajobrazów, by wreszcie w radosnym zdumieniu odkryć większą ich całość kwalifikującą się na park krajobrazowy.

Młotek geologiczny też nie próżnował. Ekspozyty powiększyły się zarówno w sensie ilościowym, jak i jakościowym. Po dwóch latach mogłem już w moim prywatnym mieszkaniu (na szczęście obszernym) zorganizować wystawę geologiczną, obrazującą przeszłość ziemi suwalskiej. Wystawę obejrzało kilkadziesiąt wycieczek – szkolnych przede wszystkim. Wystawa ta stała się kolejnym momentem zwrotnym mojego losu. U gospodarzy terenu, którzy wystawę obejrżeli, zrodziła się myśl oddania

do mojej dyspozycji lokalu z trzech izb na potrzeby muzeum, wkrótce zaś otrzymałem formalną nominację na jego kierownika. Teraz w lokalu muzeum, przy życzliwym poparciu dyrekcji Muzeum Okręgowego w Białymstoku, mogłem zorganizować większą wystawę, w odpowiedniej oprawie plastycznej.

Ukoronowaniem moich penetracji geologicznych było opracowanie wniosku o uznanie pewnego obszaru północnej Suwalszczyzny za park krajobrazowy. Wniosek uzyskał pełny akcept miarodajnych czynników państwowych i wszedł w stadium realizacji.

Dla krajoznawcy nie ma jednak rewirów zamkniętych. Jakże trudno było przejść obok rojowiska małych pagóreczków, ręką ludzką wzniesionych, czy większych wzgórz opasanych głębokimi rowami i wałami. Wiadomo – stare cmentarzyska i grody... Ale czyje? Z jakiej epoki? Tych cmentarzysk wyszperałem mnóstwo. Wszystkie wymową swojego milczenia domagają się głosu. Alarmuję więc ośrodki archeologiczne, kusząc naukowymi sensacjami i przedkładając szkice usytuowań.

Szybko składa mi wizytę dr Jerzy Antoniewicz z Muzeum Archeologicznego w Warszawie i razem obchodzimy objekty. Dr Antoniewicz w pełni docenia wagę naukową obejrzanych obiektów i szybko organizuje wielką ekspedycję badawczą pod nazwą „Kompleksowa ekspedycja jaćwieska”. Już pierwszy rok prac wykopaliskowych przyniósł sensację. W cmentarzysku koło wsi Szwajcaria pod Suwałkami odkryto całą generację „kurhanów książęcych” z okresu II–IV w. naszej ery. Do prac archeologicznych włączyli się antropologowie, historycy, biologowie, językoznawcy – tych ostatnich reprezentował uczony szwedzki, prof. dr Knut Olof Falk. W Suwałkach, a w rok później w Białymstoku, zorganizowane zostały sympozja naukowe poświęcone wynikom badań. Tematy suwalskie znalazły się nawet na Światowym Kongresie Archeologów.

Drugą z kolei wystawą w muzeum suwalskim była ekspozycja materiałów wykopaliskowych głównie ze wsi Szwajcaria. Tu wybitną pomoc otrzymałem od archeologów i dzięki niej mogłem stworzyć wystawę niezwykle interesującą.

Trzecią wystawą był bogaty zbiór eksponatów poświęconych wielkiej rodaczce suwalskiej –

Marii Konopnickiej. Jako członek Zarządu Głównego Towarzystwa im. Marii Konopnickiej i osobisty znajomy jej córki, p. Zofii Mickiewiczowej, byłem w stanie zebrać bogaty materiał ilustrujący życie poetki.

Pełniąc jeszcze nadal funkcję prezesa oddziału PTTK, nie mogłem się zamknąć w granicach tematyki muzealnej. Wolne poniedziałki poświęcał mi wspólnie z kol. Kuchcińskim na sprawy odbudowy obu domów turystycznych, remontu taboru wodnego, gospodarskiej penetracji całego szlaku wodnego. Dzisiejsze stacje wodne to właśnie wynik tej penetracji.

Nie przymykając oczu na żywiołowy rozwój ruchu turystycznego na Pojezierzu Augustowsko-Suwalskim, należało pomyśleć o przygotowaniu kadry przewodniczej. Ta sprawa spadła wyłącznie na moje barki. A nie była ona łatwa, gdyż starsza generacja przewodnicza wykruszyła się w czasie wojny i po wojnie, ze średniej zaś generacji nikt się do takiej pracy nie kwapił. Trzeba więc było sięgnąć do roczników młodych. Tu znalazło się sporo ochotników. Niestety, ta orientacja „na młodzież” miała też ujemny skutek, bowiem młode roczniki w przeważającej większości odpływały na studia, a po studiach na nowe stanowiska pracy poza regionem suwalskim, i trud szkolenia kadry okazał się daremny. W następnym roku ponowiłem kurs przewodniczy, ale i tym razem ze skutkiem podobnym.

I jeszcze jedno zadanie spadło na moje

„prezesowskie barki”: wyznakowanie 175 km szlaku pieszego. Przy pomocy dwóch ochotników w ciągu urlopowego tygodnia wyznakowałem ten, tak bardzo dziś popularny, szlak pieszy.

Pozostało nie wykonane zadanie ostatnie: napisanie i wydanie książkowego przewodnika po Suwalszczyźnie. Czas naglił, więc przystąpiłem do pracy pośpiesznie. Efektem kilkutygodniowej pracy był esej krajoznawczy na 135 stronach druku formatu „kieszonkowego”, pt. *Piękno Ziemi Suwalskiej*, wydany przez „Sport i Turystykę”.

Ekspozując tematykę suwalską na kartach przewodnika, marginesowo wyzyskałem znaną legendę o siei wigierskiej, przerabiając ją na wierszowaną sztukę sceniczną, którą niedługo potem wzięła na warsztat inscenizacyjny telewizja warszawska.

Gdy w roku 1962 przekroczyłem barierę 65 lat życia, poprosiłem moich zwierzchników o przeniesienie mnie w stan spoczynku. Praca muzealna zanosła mi przychody do biurka i unieruchamiała jako „urodzonego turystę”.

Rozpocząłem wkrótce nowy rozdział życia: działalność przewodniczą. W ciągu 10 lat oprowadziłem wiele set wycieczek (różnego kalibru) i obozów wędrownych, nie bacząc na „powagę wieku” i potrzebę „ustatkowania się”.

W roku 1967 przeniósłem się do Augustowa, gdzie akcję przewodniczą kontynuowałem w charakterze przewodnika I klasy, przewodniczącego Komisji Krajoznawczej w Augustowie i członka zarządu Komisji Krajoznawczej w Białymstoku.